



Po drodze do Bodhgayi była Gaya, gdzie wsiedliśmy w ryksze, z nadzieją szybkie dotarcie do hotelu, pod prysznic i na śniadanie. Ale nadzieja, jak mówią, matką głupich... Rykszarze wieźli nas przez jakieś wsie, kluczyli w tę i z powrotem, czyli po prostu nie mogli odnaleźć zabukowanego przez nas hotelu. Usprawiedliwia ich to, że prawie wszystkie hotele w Bodhgayi nazywają się niemal identycznie – BODHGAYA COŚ TAM. A wśród nas atmosfera się zagęszczała – wszyscy byli brudni i głodni, komuś wypadł z rikszy plecak i trzeba było po niego wracać, ktoś próbował pokierować rykszarzami, ale nie słuchali... słowem, wszystko to trwało. W końcu dojechaliśmy, żeby usłyszeć, że w hotelu jest jakaś awaria, nie ma wody i ogólnie KATASTROFA. My rozsiedliśmy się gdzie się dało i zaczęliśmy przysypiać, a Kumar z Rysiem poszli szukać nowego lokum. I znaleźli. A my zdążyliśmy się zdrzemnąć, kupić chleb, ogórki i pomidory i zrobić śniadanie. Ewakuacja do właściwego hotelu poszła sprawnie. Mnie i Bognie trafił się pokój wielkości dwóch pokoi, z klimą i działającym fanem, więc szybko zapomnieliśmy o średnio fajnym poranku. A popołudnie spędziliśmy zwiedzając świątynie buddyjskie. Bo Bodhgaya to miejscowość, gdzie miało rosnąć święte drzewo – figowiec pagodowy (*ficus religiosa*) – pod którym Siddhartha Gautama miał dostąpić oświecenia, tj. BODHI i stać się BUDDĄ (PRZEBUDZONYM). Najstarszą świątynią miała tu być budowla z czasów króla Aśoki (III w. B.C.), ale za panowania dynastii Kuszanów zburzono ją i ufundowano inną – Mahabodhi, czyli Świątynię Wielkiego Przebudzenia. Tam też odetchnęliśmy pełną piersią, siedząc w cieniu drzew, na szmaragdowej trawie, wysłuchując referatów przygotowanych przez uczestników wyprawy i opowieści Rysia, który dysponuje wielką wiedzą religioznawczą. Ale wieczór też był ciekawy, bo wypełniły go kolacja (wiadomo) oraz występy taneczne zamówione specjalnie z okazji ostatnich „nastych” urodzin Bogny. Bawiliśmy się przednio wszyscy, bo tancerze wyciągnęli nas na parkiet i daliśmy się ponieść muzyce. A następnego dnia, po śniadaniu, ruszyliśmy w stronę mojego ukochanego WARANASI.